Rok III.

Nr. 25. Nr. 25.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 21 czerwca 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

TREŚĆ: Z powodu walnego zebrania Akcjonarjuszy teatru polskiego. — Logika Kurjera warta jego taktyki a taktyka polityki. — Odwrotna strona medalu. Kartka z życia przez Wład. Sabowskiego. (Ciąg dalszy.) — Samson. Poemat hebrajski Tomasza Olizarowskiego. — Obrazki litewskie. Ze wspomnień tułacza Sobarri. (Ciąg dalszy). — Wystawa wiedeńska. — Wiadomości bieżące o rzeczach polskich. — Ogłoszenia.

Z powodu walnego zebrania Akcjonarjuszy teatru polskiego.

Osobliwy zagnieździł się u nas sposób traktowania spraw publicznych ze strony publiczności. Sarkających, niezadowolnionych ze wszystkiego co się dzieje, mamy całą mnogość — dbałych o poprawę, starających się o nią lojalnie i odważnie policzyć można na palcach. Szermować językiem, biadać a nawet unosić się gniewem, gotów jest każden, powołany i niepowołany — gdy jednâk przyjdzie do rzeczy, gdy poczucie słuszności i obywatelskiego obowiązku nakazuje wystąpić jawnie, publicznie i stanowczo, kurczy się i chowa ten i ów ujadający Papkin a wczorajsi krytycy, don Quichoci cywilnéj odwagi, przedzierżgają się ryczałtem w niepoczesną postać pospolitych „Olojaderosów.“

Tak stało się podczas walnego zebrania akcjonarjuszy polskiego teatru w Poznaniu.

Rok cały utyskiwano, szemrano, krytykowano i nicowano na wszystkie strony działalność Rady nadzorczéj i Dyrekcji współki akcyjnéj. Liczba niezadowolnionych, mniéj lub więcéj ogniście deklamujących, przeważała w każdéj bez wyjątku sferze towarzyskiéj — nachodzono nas w biurze redakcyjném ze skargami i zasypywano litanją zarzutów z jednéj strony, z drugiéj zaś wzywano nas jako „niezależne i odważne pismo“ do stanowczego wystąpienia „w sprawie istotnie wielkiéj doniosłości.“ —

Pomijając drażliwe zarzuty, których nawet sprawdzać nie uważaliśmy za stosowne, wystąpiliśmy tylko przeciw dwóm faktom, podpadającym jaskrawo pod oczy: przeciw arbitralnemu rozdawaniu robót bez ogłoszenia publicznéj submisji i przeciw istotnie leniwemu postępowaniu dzieła budowy, o którém dziś jeszcze każden naocznie przekonać się może. Że wystąpienie nasze nie tyczyło się osób, że trzymało się ściśle publicznéj sprawy w granicach praw i obowiązków publicysty, wie każden kto nas czytał i tłomaczyć się tu obszerniéj bynajmniéj nie myślimy.

Znając usposobienie i zdanie publiczności i akcjonarjuszów, byliśmy przekonani, że ci ostatni zebrawszy się licznie, wystąpią z zarzutami, którymi tak hojnie rok cały szafowali, że wystąpieniem tém nadadzą lepszy obrot sprawie, o którą tak czule się troskali.

Cóż się stało?

Akcjonarjuszów zebrało się jedenastu, z tych połowa przyszła pod koniec sesji a wszyscy milczeli jak posągi. Widocznie wszyscy byli zadowolnieni. Gdzież jednak byli malkontenci? gdzie „Olojaderosy?“

Woźny Protazy trzyma prym nad nimi, on bowiem krył się w konopie dopiéro po spełnieniu obowiązku.

Piszemy to nie dla tego, że w skutku nie-

stawienia się choćby miejscowych posiadaczy akcji zostaliśmy w mniejszości, ale dla napiętnowania nagannéj abstynencji i wstrętnego nam zawsze tchórzostwa pokątnych krzykaczy, którzy się teraz, jak zwykle, sami zdemaskowali. O zwycięztwo nie chodziło nam wcale, ale, szczerze mówiąc, o zaostrzenie energji zajmujących się budową teatru mężów, o zaagitowanie sprawy, którą i na przyszłość gorliwie, jak nam obowiązek nakazuje, zajmować się nie przestaniemy.

Ze sprawozdania przekonaliśmy się, że jakkolwiek zrobiono mało, to starano się robić dobrze i przełamano pierwsze lody. Postanowieniu ogłaszania sprawozdań kilka razy do roku przyklaskujemy z serca, dotychczasowe bowiem trzymanie światła pod korcem spowodowywało tylko liczne kólizje, których się teraz uniknie. Co do naszych dwóch zarzutów to wyznajemy śmiało, że się przy nich utrzymujemy, a cofniemy chętnie, skoro budowa gmachu żwawiéj postępować zacznie.

Stanowisko nasze w całéj téj sprawie było ściśle lojalne i jasne, pisaliśmy według sumienia, nie troszcząc się ani na chwilę o gniewy, w sprawie bowiem publicznéj prywatne względy nie mają do nas przystępu. Inaczéj postąpił „Kurjer Poznański.“ Milcząc gdy my przemawialiśmy, wystąpił w chwili dopiéro, gdy jedenastu Akcjonarjuszy dało Radzie nadzorczéj i Dyrekcji absolutorium. Wystąpił po swojemu, t. j. w liberji ober-lokaja w obronie osób, których nie zaczepialiśmy, darząc w bezsilnéj złości pismo nasze śmiesznemi wyzwiskami. — Z „Tygodnika Katolickiego“ wie już „Kurjer“, jaka zachodzi różnica między pierwszą jego stronnicą a następnemi, my tę różnicę uznajemy także. Oddając, mimo odmiennych przekonań, należne względy artykułom wstępnym w poważnéj polemice — uważamy resztę za stek gminnych pochlebstw, panegiryki dla prywatnych domów, za superlatyw służalczego zmysłu, który, jako taki, ani nas gniewać, ani obrażać nie może. Zresztą powiedzieliśmy „Kurjerowi“ tyle już razy szczere słowa prawdy, że dziś trudnoby było istotnie dodać coś nowego.

Logika Kurjera warta jego taktyki a taktyka polityki.

Kurjer w pierwszém swojém wystąpieniu (w Nr. 117) przeciw naszéj myśli zjednoczenia celnego i sprzymierzenia wszystkich ludów i państw sławiańskich na podstawie równouprawnienia, autonomji i federacji, wołał był: „Cóż dziwaczniejszego, jak przypuszczać połączenie się zagrabionéj i znękanéj Polski z Rosją i porównywać je do Unji Korony z Litwą, wolnych z wolnymi? Takiéj smutnéj parodji nie godzi się robić mając nawet najsłabsze pojęcie ojczystych dziejów; zakrawa to bowiem na ironję i złą wiarę.“

Kiedyśmy zaś Kurjerowi przytoczyli jego własne słowa orzekające, że „przyjść mogłoby do Unji narodów dziś już pobratymczych z języka“, „ale społeczeństwo, które dla zachowania, dla konserwacji własnéj musi i powinno poddać się dzierżącemu władzę“, stawia „ultimatum pobitych, którzy żądają władzy nad sobą w pojęciu tego słowa uczciwém, chrześcijańskiém“, — to Kurjer chciałby nam w Nr. 126 podsunąć „jakieś pociągi do mglistéj gminnéj Sławiańszczyzny“ i że „za daleko się zapędziliśmy w myśli pojednania z Rosją“, ponieważ oświadczyliśmy, „żebyśmy zawarli z Rosją Unję tylko jak niegdyś Polacy się z Litwinami połączyli, jako równi z równymi i wolni z wolnymi“ a „nie żądając tymczasem osobnego wojska i najliberalniejszéj konstytucji, ponieważ nauczyliśmy się liczyć z okolicznościami, stosować do nich swe dążności a wymagania ograniczyć do zaspokojenia najgwałtowniejszych potrzeb narodowych, religijnych i społecznych, zadowolnilibyśmy się przeto zupełném równouprawnieniem z Rosjanami, a więc przyznaniem językowi polskiemu, ruskiemu i litewskiemu i religji katolickiéj w dawnéj Polsce tych samych praw jakie przysługują językowi rosyjskiemu i prawosławiu i nadaniem gminom, miastom, powiatom, gubernjom i krajom Korony, Litwy i Rusi tychże instytucji autonomicznych, jakie posiadają gminy, powiaty i kraje wielkorosyjskie, finlandzkie, ostsejskie i dońskich Kozaków.“

To ściśle z naszéj strony określenie warunków pojednania i Unji Polaków z Rosjanami nazywa Kurjer „zrzekaniem się faktyczném ze strony Tygodnika Unji narodowéj, jakiéj programat „Kurjer“ zakreślił na przyszłość a żądaniem tylko równouprawnienia“ Nie my więc, ale „Kurjer“ „mglisto“ nasz stosunek do Rosji oznaczył, nie Tygodnik, ale on „za daleko się zapędził w myśli pojednania z Rosją“, nie my, ale on nietylko zasad Unji, ale i równouprawnienia się zrzekł w swojém „ultimatum pobitych, którzy żądają władzy nad sobą w pojęciu tego słowa uczciwém, chrześcijańskiém“ może w rodzaju Filipa II, króla Bamby, albo Metternicha.

Kurjer czując, że się za daleko zapędził w swych artykułach „o pojednaniu Polaków z Rosjanami“, zaczyna się w Nr. 126 swego pisma wycofywać. Nie będziemy mu tego utrudniali. My jednakże nie widzimy potrzeby modyfikowania cośkolwiek z tego, cośmy o naszém względem Rosji stanowisku wypowiedzieli. Utrzymujemy też w całkowitości nasze zapatrywania co do stosunków z Austrją i jéj ludami, jakie „Kurjerowi“ się nie podobają, kiedy powiada: „Tygodnik Wielkopolski, który w artykułach Dr. Szulca już dawniéj rozwijał utopje wszechsławiańskiego panowania aż po rzekę Inn, stanowiącą granicę Austrji względem Niemiec, hołduje znowu tymże mrzonkom wszechsławiańskiego państwa federalnego. My mamy życzliwość szczerą dla wszystkich pobratymców, czego dowody dawaliśmy wielokrotnie; ale do mglistéj gminnéj Sławiańszczyzny pociągów nie mamy; nie myślim się wyrzekać wyższego stopnia ukształcenia politycznego dla niższego, dla najniższego, nie myślim wchodzić w żywot matki, żeby się nigdy nie odrodzić, a dawne życie swe znicestwić.“ Co „Kurjer“ rozumie pod „gminną Sławiańszczyzną“, „zrzekaniem się wyższego stopnia wykształcenia dla niższego, najniższego“, co pod „wchodzeniem w żywot matki“, trudno go o to pytać, bo on sam nie wié, wojując frazesami w braku argumentów. Myśmy naszą myśl pod tym względem rozwinęli po kilkakroć szczegółowo i ściśle naukowo, mianowicie też w rozprawach pod napisem: „Geograficzne położenie podstawą dziejów i polityki“, „Węzeł

gordyjski spraw wschodnio-europejskich" i „Czy zjednoczenie Sławiańszczyzny możebne." Kwestje te należą do najważniejszych i najżywotniejszych spraw naszych, mamy więc prawo domagać się i na tém polu „prac organicznych" ze strony naszéj publicystyki i oczekiwać dyskusji ze spokojem, zastanowieniem i godnością prowadzonéj. My zaś, streszczając nasze zapatrywanie na stosunki Polaków w Austrji i Rosji, twierdzimy z największą stanowczością, że jeżeli nie przyznamy Rusinom nasamprzód galicyjskim zupełnéj autonomji i nie połączymy się solidarnie do wspólnego postępowania ze wszystkiemi Sławianami austrjackiemi i całém stronnictwem federacyjném, stracimy niezadługo w Galicji wszystkie nam przyznane prawa, zgubimy Austrję, wszystkie jéj ludy i siebie; jeżeli zaś Rusinom całkowite przyznamy równouprawnienie i autonomję (ze wspólnym namiestnikiem i sejmem generalnym dla Szląska polskiego, Ks. Krakowskiego, Halickiego i Bukowiny) i połączymy się dla solidarnego postępowania z federalistami austrjackiemi, to zmusimy niezwłocznie Austrję do przyznania wszystkim swym narodowościom autonomji i przyjęcia ustroju federalistycznego w miejsce obecnego dualizmu i hegemonji madziarsko-niemieckiéj, następnie w połączeniu z Rusinami wtedy zgodnie z nami działającymi, zmusimy i Rosję, że nam, Rusinom i innym ludom przyzna równouprawnienie i autonomję i wszystkie prawa dawnéj Polsce przynależne Więc nie z sentymentu dla Sławian i nie spuszczając się na ich dla nas sentymenta, ani téż zrzekając się jakiegokolwiek naszego prawa, zalecamy powyższe postępowanie tylko jako najskuteczniejszy środek osiągnięcia właśnie wszystkich praw naszych. Kto zna lepszy, niech go poda.

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Kartka z życia

przez

Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ton gorzkiego wyrzutu, jakim Zakucki powiedział te słowa, zmienił się nagle. Powróciła mu zwykła intonacja głosu, uśmiech nawet znów twarz okrasił.

— Wszelako, — skończył, — rozgorączkowałem się niepotrzebnie... nie powinienem był tego mówić panu dobrodziejowi...

— Przeciwnie, panie, — odpowiedział wzruszony pan Maurycy, wyciągając do niego ręce, — dziękuję ci, żeś mi to powiedział... żyjąc w dostatkach nie umiałem trafić do nędzy... przekonałeś mnie stanowczo o doskonałości swéj myśli... Powiedz jednak otwarcie... szczerze... czy dziś potrzebujesz mojéj pomocy?... czy ją przyjmiesz odemnie jako od przyjaciela?... czy chcesz być moim przyjacielem?...

— Co do pomocy, najprzód... dziękuję panu dobrodziejowi za nią... Moja jędza już sobie poszła... inaczéj nie widziałbyś mnie pan tutaj... mam dziś więcéj, niż mi potrzeba... Co do przyjaźni, zaszczytem jest dla mnie, że mi ją pan dobrodziéj ofiarujesz... wszelako... pozwól pan dobrodziéj, że poproszę, żebyś się wstrzymał nieco, bodaj tydzień jaki, nim mi udzielisz ten tytuł. Zobaczymy, czy nań zasłużę...

— O! tego jestem najpewniejszy!... — zawołał z przekonaniem teść hrabiego i baronówny.

— A ja, panie dobrodzieju, tego właśnie jestem bardzo niepewny, — odrzekł Zakucki, — bo mi po mojéj nędzy zostało dużo, bardzo dużo sceptycyzmu... Ale kiedyż, — dodał po chwili, — pozwoli pan dobrodziéj, żebym go odwiedził, i żebyśmy odbyli pierwszą z projektowanych przezemnie wędrówek?...

— Kiedy zechcesz, panie Kwirynie, jestem zawsze na twe rozkazy...

— Możeby lepiéj było wybrać godzinę najdogodniejszą dla pana dobrodzieja?...

— Nie, nie, panie Zakucki, obieraj chwile najdogodniejsze dla nędzy.

Po takiéj rozmowie rozstali się. Pan Maurycy odprowadził swego gościa aż do schodów, na co ogromne oczy zrobił lokaj siedzący w przedpokoju, gdyż żaden z suplikantów, których tylu nawiedzało pana Grzmockiego, nie dostąpił jeszcze tego zaszczytu.

Wracając do kancelarji, pan Maurycy wydał swojemu służącemu następne polecenie:

— Jak ten pan przyjdzie. czy w dzień, czy w nocy, prosić do salonu i meldować, choćbym był przy stole, a nawet budzić mnie, gdybym spał. Gdy nie będę miał nikogo z gości, wpuszczać wprost do mnie bez meldowania. Rozumiesz?...

— Rozumiem, jaśnie panie, — odpowiedział lokaj, chociaż napróżno kombinował sobie w głowie znaczenie tego rozkazu, który dla niego był od *a* do *z* niepojętym. Nietylko dzieci własne, ale nawet zięć, chociaż hrabia, i synowa, choć baronówna, nie mieli u pana Grzmockiego takich przywilejów, jakich dostępował teraz jakiś pierwszy lepszy, wcale niepozorny suplikant. Pan Grzmocki, jak widzimy, nie darmo od opinji publicznéj dostał przydomek najuczynniejszego z filantropów.

III.

Zwróciliśmy już uwagę przy oglądaniu kancelarji pana Maurycego, że musiał on być człowiekiem systematycznym. Otóż systematyczność jest jedną z tych cnót czy przymiotów, których potrzeba koniecznie mieć w miarę. Być za mało systematycznym, źle, być systematycznym za wiele, jeszcze gorzéj. W pierwszym razie brak ładu w czynnościach, w drugim naginanie najdrobniejszéj czynności do pewnego, raz na zawsze przyjętego, porządku, staje się w człowieku nieznośném.

Pan Grzmocki był człowiekiem systematycznym, ale w rozsądnych granicach. Prowadził wprawdzie statystykę projektów, które mu podawano, a które odrzucał, co bez zaprzeczenia było już zbytkiem systematyczności, ale to była jedyna może słabość jego pod tym względem. W domu jego wszystko szło jak w zegarku. Wstawał i szedł na spoczynek o jednéj zawsze godzinie, o jednéj godzinie siadał do stołu, przyjmował gości, pracował w kancelarji, czytał, wyjeżdżał albo wychodził na przechadzkę; nie było to jednak skutkiem tego, żeby do opóźnienia lub przyspieszenia tych godzin przywiązywał jakąbądź wagę, lecz że się tak ułożył domowy porządek, a zmienić coś w jednostajném życiu bogatego człowieka nie było najmniejszego powodu. Wszędzie, gdzie tylko rodzaj zatrudnienia pana domu nie wymaga rozmaitości pod tym względem taki porządek domowy istnieje, i tylko w razie potrzeby zachodzą od niego wyjątki, — tutaj wyjątków nie bywało, bo nie zachodziła potrzeba, wszystko się więc wtarło w pewną przy-

jętą kolej i następowało po sobie z taką regularnością, jak rewolucje planet i księżyców.

Pan Maurycy nadto, oprócz mnóstwa rzeczy, które zawdzięczał losowi, zawdzięczał mu także godne pozazdroszczenia zdrowie. Wyprzysięgliśmy się już w tém opowiadaniu złośliwości, więc nie powiemy, żeby to było koniecznie dla tego, że się ze swym domowym lekarzem, doktorem Tryszczem, ułożył na sposób chiński, — opowiemy jednak ten sposób, bo może niejednemu z czytelników nie jest znanym, a że jest, chociaż chiński, bardzo rozsądnym, zasługuje więc na poznanie.

Chińczycy są tego zdania, że od doktora nie kupuje się choroby, tylko zdrowie, słuszną więc jest rzeczą płacić im za zdrowie nie za chorobę. Tym sposobem własny interes medyka wymaga, żeby pacjent był zdrów jak rydz, a nie żeby ciągle kwękał i codzień potrzebował wizyty oraz recepty. Z tego powodu każdy Chińczyk płaci swemu lekarzowi za konserwację swego zdrowia umówioną kwotę roczną dopóty, dopóki nie zachoruje. Gdy choroba zawita, konserwator zdrowia zamiast przypadającéj pensji, otrzymuje odpowiednią ilość bambusowych kataplazmów na plecy.

Ta ostatnia część chińskiéj procedury wydawała się panu Maurycemu zbyteczną, w europejskiéj bowiem cywilizacji pozbawienie płacy jest nawet bez okładań bambusami dosyć bolesne; co do reszty jednak poszedł w ślady wyznawców Konfucjusza i dobrze mu się z tém działo. Doktorowi Tryszczowi płacił dość znaczną pensję roczną, ale zastrzegł sobie, że jeśli zachoruje, to go eskulap będzie musiał leczyć zadarmo Układ ten nie okazał się niekorzystnym dla lekarza, który się nigdy po nic innego jak po pieniądze nie pokazywał, a pan Grzmocki nie uważał go także za niekorzystny dla siebie.

Będąc jednako zawsze zdrów, nasz filantrop nie miał nawet tego powodu, jaki dawać zwykła chwilowa niedyspozycja lub słabość do zmienienia djety i zajęć, lub rozrywek codziennych. Tym sposobem długotrwałe zdrowie przyczyniało się także do tego, że ów utarty porządek domowy nigdy nie podlegał zmianom, i że pan Grzmocki, sam nie wiedząc kiedy, przyzwyczaił się do niego.

Przyzwyczajenie jest drugą naturą, jak powiada przysłowie. Ktoś, podobno Fontenelle, zapytał: „cóż w takim razie jest pierwszą?...“ i nikt mu dotąd nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Można tedy przypuścić, że to co nazywamy naturą ludzką, nie jest niczém inném, jak kombinacją samych przyzwyczajeń. Otóż te wszystkie przyzwyczajenia, cała ta kombinacja, cała natura pana Grzmockiego mogła być narażoną na okropne próby, gdyby Zakucki, stosownie do upoważnienia, jakie otrzymał i do rozporządzenia, wydanego przedpokojowéj służbie, chciał go wyciągać z domu w godzinach snu lub obiadu i prowadzić na oglądanie odwrotnéj strony medalu nędzy.

Pan Kwiryn jednak, czy był tyle wyrozumiałym na słabości ludzkie, czy dla jakich innych powodów, przyszedł wprawdzie zaraz nazajutrz, ale w godzinie dla pana Grzmockiego najdogodniejszéj, wybierał się on bowiem właśnie na codzienną, tak przez hygienę zalecaną przechadzkę, mógł zatém bez żadnéj zmiany w porządku swoich zajęć udać się tam, gdzie go wzywała rozsądnie pojęta filantropja.

To też pan Maurycy przyjął pana Kwiryna z takiém zadowoleniem i z taką serdecznością, z jaką się tylko starych przyjaciół przyjmować zwykło.

— Witam, witam kochanego pana, — zawołał, wybiegając naprzeciw niemu, — wiem, że nie skłamię, jeżeli powiem, że tyle razy wspominałem pana w myśli, ile godzin upłynęło od naszego poznania.

— Wierzę, najchętniéj wierzę, panie dobrodzieju, — odrzekł Zakucki, — dla człowieka z sercem, posiadającego środki i dobrą wolę dopomożenia, prawdziwa nędza może być rzeczywiście ciekawém zwierzątkiém... to tylko szkoda, żé ludzie tacy tak rzadko mogą ją widywać.

Było może trochę złośliwości w tém odezwaniu się pana Kwiryna, ale pan Maurycy, w istocie bardzo ciekawością zdjęty, nie zwrócił na to uwagi. Miał widocznie nadzieję jakiegoś nadzwyczaj oryginalnego i zajmującego widowiska.

— Mogę kazać zaprzęgać? — zapytał się pana Kwiryna.

— Zaprzęgać?... nie panie... musimy iść piechotą, — odpowiedział cicerone, — najprzód dla tego, że nie pójdziemy bardzo daleko, a powtóre, że jadąc powozem, chybilibyśmy celu.

Pan Grzmocki okazał zdziwienie, które nie uszło uwagi Zakuckiego i wywołało objaśnienie z jego strony.

— Dziwi to pana dobrodzieja, — rzekł, — wszelako rzecz to bardzo prosta... Nędza czy potrzeba, która nie przyszła do pana po pomoc, nie dla tego nie przyszła, żeby gardziła tą pomocą, lecz że się wstydziła wyciągać o nią rękę. Wstydziła się nietylko siebie i pana, ale i ludzi, którzy na wszystko patrzą okiem ciekawém i złośliwém. Do takiéj nędzy czy potrzeby nie karetami zwykli zajeżdżać goście, gdybyśmy więc zajechali karetą, czyż nie dostarczylibyśmy tym ludziom przedmiotu do złośliwych domysłów?...

— Słuszna uwaga, panie Kwirynie... każde słowo pańskie jest dla mnie nową nauką, jak byłem niedoświadczony dotychczas.

Nowym uściskiem ręki pan Maurycy podziękował Zakuckiemu.

— Idziemy zatém, — rzekł, wybrawszy się, — czy mam wziąć z sobą pieniądze?...

— Można.

— Ile?

— Oceni sam pan dobrodziéj, ile będzie potrzeba poświęcić... wszelako, mojém zdaniem, im więcéj się ma przy sobie, tém lepiéj.

— Więc dobrze... wezmę dużo, bardzo dużo.

Zakucki nie zrobił żadnéj uwagi. Poszli.

Pan Grzmocki, jak już powiedzieliśmy, mieszkał w swojéj willi przedmiejskiéj, i nigdy nie wychodził pieszo. Przechadzką nazywało się u niego, jeżeli wyjechał do miasta lub za miasto, i tam dopiéro, kazawszy zatrzymać się powozowi, użył cokolwiek ruchu w jakim ogrodzie lub na jakiéj eleganckiéj promenadzie. Samo już wyjście było dla niego czémś nowém, i zaraz po zrobieniu kilkudziesięciu kroków miał się dowiedzieć o rzeczy, która dla niego była jeszcze większą nowością.

Na przedmieściach w ogóle powietrze bywa świeższe niż w miastach, ale bruk za to dziesięć razy fatalniejszy. Stopy od wielu lat przyzwyczajone chodzić tylko po woskowanych posadzkach, dywanach, suknem wysłanych schodach, gładkich chodnikach i grubo żwirem wysypanych alejach, z największą łatwością robią to spostrzeżenie. Zrobiły je też prędko stopy pana Maurycego.

— Nie wiedziałem doprawdy, — rzekł z grymasem, — że droga do mego pałacyku na piechotę taka okropna... muszę powiedzieć któremu z radców miejskich, żeby wniósł na radzie, że trzeba tu dać chodniki... asfaltu przecież nie brakuje.

Zakucki słuchał tych uwag, z ukosa spoglądał na nogi swego towarzysza, uśmiechał się, lecz nic nie mówił.

Im daléj w las, tém więcéj drzew, mówi przysłowie. Z szerszéj ulicy trzeba było zboczyć w węższą, z głównéj arterji przedmieścia w jakąś mało uczęszczaną przecznicę. Był tam bruk, na którym archeologowie mogli wygodnie robić studja nad sztuką brukowania za czasów naszych pradziadów. Gustowne obuwie pana

Maurycego, ze skórą na podeszwie cienką i giętką jak skórka na rękawiczki, nie było stworzone do tego bruku.

— Wiesz, panie Zakucki, — odezwał się z niezadowoleniem, — że ja zupełnie nie pojmuję, jak ludzie tędy chodzić mogą codziennie i nóg sobie nie połamią.

— Ba! panie dobrodzieju, — odparł pan Kwiryn, — była we Francji księżniczka, która nie pojmowała jak ludzie mogą umierać z głodu... mogliby przecież, jak mówiła, jeść bodaj chléb z serem. Bruk tu nieosobliwy, to prawda, wszelako, ja pana dobrodzieja zapewniam, że są w naszém mieście ulice, na których jest jeszcze gorszy.

Słowa Zakuckiego dodawały rezygnacji panu Maurycemu. Szedł i chociaż od czasu do czasu brała go wielka ochota stęknąć albo zakląć djabłami, przecież nie stękał ani nie klął.

Tortury jego skończyły się niedługo. Dom, do którego prowadził go Zakucki w istocie leżał niedaleko.

Był to niepozorny budynek jedno-piętrowy, a właściwie bezpiętrowy, bo pierwsze piętro stanowiła facjata złożona z kilku niskich okienek, wystających z gontami pobitego dachu. Na dole również było kilka okien, ale okiennice od nich z niewiadoméj przyczyny zamknięte.

Pan Grzmocki spytał o przyczynę tego zamknięcia, Zakucki nie umiał jéj objaśnić dokładnie, odpowiedział tylko:

— Nie wiem, może ci co mieszkają na dole, wyjechali gdzie z miasta.

Ojciec małżonka baronównéj i małżonki hrabiego ciekawie bardzo przypatrywał się domostwu, do którego wchodzili. Od tak dawna podobne budynki widywał tylko z wierzchu, gdy przypadkiem przejeżdżając rzucił na nie okiem przez okno karety, od tak dawna noga jego nie przestąpiła progu podobnego domu, że nie wyobrażał sobie zupełnie, zapomniał, nie rozumiał jak mogło wyglądać wnętrze.

Widok wnętrza nie był zachwycający. Ściany odrapane, sień zastawiona mnóstwem gratów, których użytku zaledwie się domyślał pan Grzmocki, drzwi do mieszkań po jednéj i drugiéj stronie zabrukane a małe, jakby nie przypuszczano, żeby niemi kiedy korpulentne osoby przechodzić miały, w głębi ciemne schódki na górę o wysokich stopniach i chwiejącéj się poręczy, trzeszczące pod nogami i uginające się jak klawisze, — oto obraz jaki mu się przedstawił.

Nędza ta, jakkolwiek nowa i ciekawa, nie robiła na panu Maurycym takiego wrażenia, jakiego się doznać spodziewał. Zdawało mu się, że to co zobaczy od razu trafiać będzie do jego serca, przejmując je żywém wzruszeniem. Wrażenie jednak, aby się dostać aż do serca, potrzebowało przejść tamtędy, którędy zwykle wrażenia chodzą, — przez zmysły. Czuł ból w nogach, zmęczenie, to co widział raziło jego oczy, nie wiedzieć czemu zdawało mu się, że mu coś w nosie nieprzyjemnie kręci, głębszego przejęcia się nie zaczynał jeszcze doznawać.

Zamiast być wzruszonym, dziwił się tylko.

— Nie pojmuję, — odezwał się do pana Kwiryna, — jak tutaj ludzie mieszkać mogą... gdzież to tutaj mieć można jakąbądź wygodę?...

— Ba! panie dobrodzieju, — odpowiedział Zakucki, — wygoda za wielka pani, a więc w takich dworkach nie mieszka... wszelako, zapewniam pana, że to domostwo jeszcze nie ostatnie. To jeszcze pałac w porównaniu z norami, w jakich się czasem gnieździć muszą ludzie.

To mówiąc, Zakucki wskazał panu Maurycemu, że mają iść na górę, a widząc jego wahanie się, pierwszy wszedł na schody.

— Będę panu dobrodziejowi pokazywał drogę... proszę za mną. Ostrzegam tylko, że tam gdzie pójdziemy ja mówić będę kto pan jesteś i po co przychodzisz... chociażbym kłamał, potwierdzaj pan. . to w dobrym celu.

— Ufam panu zupełnie, — odrzekł kwaśno pan Grzmocki, — to co dotąd widziałem wystarcza, aby mnie przekonać, że mnie prowadzisz do prawdziwéj nędzy.

Pan Kwiryn lekko i zgrabnie wszedł na schody, widać, że mu były dobrze znajome. Pan Maurycy brał się do tego dzieła z taką ostrożnością i niewprawą, z jaką podróżujący po raz pierwszy okrętem wchodzi na schodki wiodące pod pokład.

— Te schody załamią się jeszcze podemną, — mruknął, mierząc wzrokiem swoją przyzwoitą tuszę i porównywając ją z niewielką figurką swego przewodnika.

Zakucki widać nie słyszał téj uwagi.

Pan Maurycy był człowiekiem dobrego wzrostu. Małe dworki przedmiejskie niezawsze są budowane na takich ludzi, — architekci tych klatek, które udają domy i płacić muszą podatki tak jakby rzeczywiście były domami, nie przypuszczają częstokroć, żeby w nich bywać mogły albo mieszkać osoby trzymające miarę popisową, lub téż niezbyt nawykłe do składania niskich ukłonów. Ztąd zdarza się często, zwłaszcza na schodach, że w wysokości dwóch albo półtrzecia łokcia od podstawy, którą idący ma pod nogami, znajduje się albo jaka wystająca belka, albo część dachowego wiązania. Kto się nie lęka, gdy się pod nim schody ruszają, widzi zawadę, kłania się jéj uprzejmie i przechodzi pod nią bez szwanku; ale czyja uwaga, jak pana Maurycego, głównie zajęta tém, żeby się nie zapadła pod jego stopami ulepszona nieco drabina, któréj miejscowi mieszkańcy nadali pretensjonalne schodów nazwisko, ten przechodzi bez należytego uszanowania, i jak nasz nieszczęsny pan Grzmocki robi sobie guza na czole.

Pan Maurycy rzeczywiście uczuł, jakby go coś grubą pałką w ciemię grzmotnęło. Ciemno mu się zrobiło w oczach, doznał nadzwyczajnego bólu, nie zdążył nawet krzyknąć, i obsunął się zwolna na schody bez zmysłów.

Zakucki wybrał na pierwszy raz rzeczywiście „uderzający“ okaz ludzkiéj nędzy....

(Ciąg dalszy nastąpi).

SAMSON.

Poemat hebrajski

Tomasza Olizarowskiego.

Poemat, który podajemy Szanownym czytelnikom, jest trzecią częścią powieści hebrajskjéj p. t. „Sotfy“, któréj dwie pierwsze pieśni wyszły w trzytomowym zbiorze poezji autora, we Wrocławiu przed laty trzydziestu. — Samson, pod Ramat Lechi zbiwszy Filistynów, pospiesza do miasta Zarei, gdzie go świeżo z kraju nieprzyjaciół poślubiona, oczekuje Dalila. Do obozu jego przybywa Eusenna, niewiasta z gaju Abrahi. Kiedyś o miłość jéj starał się także szoffetim, ale zawsze wesoła niewiasta, szukającemu rzewnéj miłości odpowiedziała pustotą i śmiechem. Ale po za tą maską wesołą kryła się miłość już wówczas, któréj Samson dostrzedz nie umiał, miłość i później niezgasła, kiedy Samson porzucił Eusennę. Dziś zapomniana przybywa go ostrzedz przed zdradą Dalili. Widziano ją z filistyńskimi książęty tajemne prowadzącą układy. Softy przybywa do domu, wiarołomną żonę pozdrawia gradem wyrzutów. Ale przebiegła Dalila łzami, pozorną rozpaczą zachwiewa przekonanie Samsona, łagodzi gniew jego, doprowadza nawet do żalu, do wy-

znania niezmiennéj miłości. Korzysta z téj zmiany Dalila, czarownemi słowy wyłudza tajemnicę nadludzkiéj siły Samsona. Uspionego po trudach walki i drogi pozbawia splotu włosów cudownych, przyzywa książąt filistyńskich, z których każdy przyrzekł jéj za zdradę po tysiąc i sto srebrników. Pozbawionego swéj siły Samsona z łatwością skrępowali książęta, ale prośbą i rachubą przekonani pozwalają mu pomścić swéj krzywdy, zdejmując mu węzły na chwilę. Samson zabija Dalilę i oddaje się w ręce nieprzyjaciół. Oślepionego powiedli do Gazy. — Taką jest treść dwóch pierwszych części poematu, bez któréj ogólnego poznania, część trzecia nie całkiém zrozumiałą byłaby dla czytelników.

Pieśń trzecia.

I.

W Dagonowéj świątyni zebrał się mnogi Filistyn.
Co znaczniejszy mąż przybył: aby się cieszył w stolicy
Z pojmanego mocarza. Męże, książęta, wodzowie,
Z białogłowy swojemi, społem do uczty zasiedli.
Pożywając objaty, bóstwu złożone w podzięce,
Biesiadowali wesoło. W srogiéj uciesze, kazali
Przyprowadzić Samsona: aby błaznował i grał im.

II.

Wszedł hebrajski mąż z arfą. Wiodło go cudne pacholę.
Mimowolnie wesołe twarzą dziewiczą, nadobną,
Śnieżne odzieniem, niebieskie okiem, a złote włosami.

III.

Niedawno, od przedniejszego tłumu judskiego okolon,
Stąpał na modły, na sądy, albo na świątki, na gody.
Przed lwami jego spojrzenia wzroki najśmielszych, najstarszych
Kryły się pod swe powieki; czoła się przed nim chyliły,
Jako przed mężem, mającym ducha bożego najwięcéj.
Cześć kędy stąpił, a miłość w każdém miał sercu hebrajskiém.
Na żywot jego nastawać nie śmiał Filistyn otwarcie.
Ninie, jedno pacholę wodzi go, wedle rozkazu,
Od więzienia do chramu, i do więzienia od chramu.
Ninie, wszyscy nań patrzą jako na syna Niedoli:
Jedni się dziwią, śmieją się drudzy, niektórzy litują.
Bezserdeczny Filistyn każe mu, dla swéj uciechy,
Mleć na żarnach w więzieniu, albo błaznować w świątyni.

IV.

Wywyższony poniżon; sądy czyniący osądzon:
Bez óez, bez sił, samotnie wydan okrutnym na pastwę.
Pastwią się nad nim okrutnie; pastwią się wzgardą, szyderstwem;
Litość udając słowami, cieszą się z jego niemocy;
Smutkiem się jego weselą; bawią się jego boleścią.
Twoje to dzieło, niewiasto! Biada wam wielcy mężowie,
Jeśli się z mężów bożych, niewiast mężami stajecie!

V.

Wszedł hebrajski mąż wielki; stawion u słupców świątyni, —
U dwu słupców, na których cały strop gmachu spoczywał, —
Oparł rękę o słupiec, drugą na arfie zostawił,
Trzymając w górę: oblicze, pełne wyrazu boleści;
Czoło ponure myślą, z woli niezmiennéj wyrosłą,
Temu jedynie wiadomą, co wié o wszystkiém na świecie.
Głowę mu kryło i barki czechło z byssusu białego.
Cały się zdawał posągiem obok filarów stojącym. —
Filistynowie klaskając: błaznuj Samsonie! wołali.
Gdy cisza weszła do chramu, Samson w głos począł rozmowę
Ze swoja arfą i Bogiem; w słowa te z nimi rozmawiał:

VI.

Arfo moja cedrowa! po raz ostatni uderzę,
W strony twe złote i srebrne. Brzmiałaś na szczycie Etamu,
Kiedym chwałę a dzięki pieśnią podnosił do nieba:
Kiedym sławie podawał Zbawców imiona uczciwe:
Kiedym Otonijela, kiedym wysławiał Ahoda,
I Baraka z Deborą wieszczą, Samgara mocnego,
Jeftego i Gedeona. Lud się gromadził, jakoby
Na uroczyste modlitwy trąby przyzywan srebrnemi;
Wdzięcznie i święcie nas słuchał, i umiłował arfiarza.
O, towarzyszko méj pieśni! czas ten, z oczyma mojemi
W przepaść byłości rzucony, więcéj już do nas nie przyjdzie.
Ujrzę go chyba gdzie oczy będą mi moje oddane.
Ale już inne tam czasy, boskie tam będą nie ludzkie.
Tam napawać się będzie wzrok mój obliczem Jehowy;
Tam napawać się będzie słuch mój pieśniami aniołów;
Tam radować się będę z ziemskiéj wyzwolon niewoli.
Tam skrzydła czasów przynosić będą roskosze li same.
Do tamtych czasów duch mój w drogę się oto wybiera.

VII.

Inny czas nastał. Niema już czasu wdzięcznego na ziemi.
Wyjdź głosie lwami z mych piersi, jakem wychodził z Etamu
Za czasu mocy mych ramion, kiedym niósł pomstę i wolność.
Jeśli nie pierzchnie przed tobą ludu mojego niewola;
Jeśli Dagonów czciciele nie zaprzestaną urągać
Z Boga mojego po ojcach, z ludu mojego i ze mnie:
Niech wejdzie we mnie milczenia przepaść! Niech będzie wyjęta
Dusza z ciała mojego, jako wyjęte są oczy!

VIII.

O Ty, coś Sema potomków ludem swym nazwał wybranym;
Coś Abrahama powołał: aby ci chwałę zbudował
Na ziemi mleka i miodu; chwałę nad dęby, nad cedry,
Na wszystek świat, na wszystkie czasy, od ojców do synów, —
Ojców mych Boże! chwała ci! Chwała ci z ducha i ciała!
Oto pierś moja brzemienna pieśnią ostatnią na ziemi;
I oto arfa gotowa pieśni pomagać dźwiękami,
Aby iść społem do ciebie: Adonaj! otwórz im drogę.

IX.

To rzekłszy w arfę uderzył na wtór, śpiewając te słowa:
— Chwała ci z ducha i ciała! Chwała ci, ojców mych Boże! —
I słuchał arfy, dopóki anioł, stróż pieśni, nie zaniósł
Wszystkich jéj dźwięków do nieba; poczém znów mówił: Adonaj!
Pamięć ma nie śpi przed tobą; serce me czuwa przed tobą.
Tyś mię w żywocie Etymy wybrał dla ludu swojego.
Tyś mię Nazareuszem, tyś mię uczynił mocarzem.
Zaprowadziłeś na Etam: abym w jaskini Etamskiéj
Ciało wychował dla ducha, ducha wychował dla ciebie.
Zleciały do mojéj głowy orły na gwiazdach wylęgłe;
Lwy weszły do ramion moich; w sercu gołębie osiadły.
Gołębiami latałem od Dan aż do Bersaby;
Od fig i winnic Bersaby do palm i gajów Jerycha;
I od ogrodów Engaddi do gór Libańskich cedrowych.
Do ciebiem latał orłami. Duch méj się tobą wykarmił.
Stałem się wielkich sił mężem; ducha i ciała mocarzem.
Chwała ci z ducha i ciała! Chwała ci, ojców mych Boże! —

X.

Zagrał na arfie; posłuchał; poczém, gdy zcichła, tak mówił:
Mocny, wyszedłem z jaskini, na szczyt Etamu wyszedłem.
Grając na arfie śpiewałem; pieśni dziękczynne śpiewałem.
Góry, doliny, na ziemi, księżyc i gwiazdy na niebie
Pieśni słuchały do świtu. Pod twym baldachem gwiaździstym,
Przed twego ducha obliczem, duch się mój błogo unosił
Pieśni skrzydłami górnemi. Jako od pieśni słowika
I od łez gwiazdy porannéj, róża swe wdzięki rozwija,
Tak od méj pieśni rozkwitło ludu twojego zbawienie.
Chwała ci z ducha i ciała! Chwała ci, ojców mych Boże!

XI.

Z promienia twarzy Jehowy twarz twa sprawiona o! słońce!
Wyszła od pustyń Eufratu, śmiejąc się cudnie do świata.
I pora wtedy, ubrana w szaty swe letnie bogate,
Na górach i na dolinach, pięknie się z tobą witała.
Jeleń złocił swe rogi twarzy twéj złotem; sarneczki
Biegły do zdrojów ucieszne; koźlę igrało z koźlęciem;
Na pagórkach wesołych pasły się stada owieczek;
Na dolinach się pasły stada jałowic i ciołków.
Milczały trzciny grające; smutek oniemiał skotarzy.
Sępił się rolnik judejski patrząc na uśmiech pszenicy.

Zmilkły arfy na górach; zmilkły cynnory w dolinach.
Radość skrzydła zwiesiła. Szata się ludu rozdarła;
Spadło mu z głowy nakrycie; popiół mu stał się siedzeniem.
Izrael z córkami swemi siadł na popiele i płakał.
Ujarzmiciel urągał, cieszył się w namiotach swoich.
Pod palmami Jerychu, w gajach Bersaby oliwnych,
W Efraimskich winnicach, w stronach Jordanu zielonych,
Cieszył się z łez Izraela, pysznił się z jego niewoli.
Krzyknęły wnętrzności moje; gniew się zapalił w mych piersiach;
Pieśń uciekła w głąb' serca; arfa wypadła mi z ręku.
Adonaj! zawołałem. Ducha mojego przybytek
Duchem się twoim napełnił. Serce się moje podniosło.
Lwy się ruszyły w ramionach. Zbiegłem w doliny, wołając:
Chwała ci z ducha i ciała! Chwała ci, ojców mych Boże!

(Dokończenie nastąpi).

OBRAZKI LITEWSKIE.

Ze wspomnień tułacza

Sobarri.

(Dalszy ciąg.)

VI.

Ustęp czwarty z Pamiętników prof. Stanisława Jundziłła.

Sprostowanie omyłek, fałszów i potwarzy, w dziele Maurycego Mochnackiego: „Powstanie narodu polskiego w r. 1830 i 1831.“ — Paryż 1834.

Szanowny pisarz historji powstania narodu polskiego, zamierzając okazać wpływ edukacji publicznéj na utworzenie i rozkrzewienie ducha politycznego w narodzie, poczyna rzecz od uniwersytetu wileńskiego, jako głównego naukowego zakładu w prowincjach polskich pod panowanie rosyjskie zagarnionych. Zamiar zaiste trudny do spełnienia; nikt bowiem dotąd nie śmiał ogłosić drukiem dziejów tego uniwersytetu, a autor nigdy go sam nie zwiedzał, i z członków żadnego podobno, prócz Lelewela i Gołuchowskiego, osobiście nie znał; jakoż gdy w całym ciągu dzieła swojego, opowiadając nietylko główniejsze czyny rewolucji, lecz i drobne opisując zdarzenia, stara się opierać je na najautentyczniejszych dowodach, w tém co mówi o uniwersytecie żadnego ani z publicznych pism, ani z ustnych nawet, godnych wiary podań, nie przywodzi świadectwa. Źródłem zaś całéj téj o uniwersytecie powieści zdają się być niektórzy młodzi nasi ziomkowie, towarzysze tułactwa autora, którzy pod świętą tarczą patrjotyzmu kryjąc wszystkie wady korpusowego stronnictwa, śmiałemi zarozumiałości wyrazami, stanowczym w mówieniu tonem potrafili podchwycić i złudzić łatwowierność autora*). Takowe to omyłki wytknąć i sprostować, jako członek uniwersytetu i naoczny świadek wymienionych przez autora zdarzeń, powodowany miłością prawdy i chęcią uniewinienia spotwarzonych osób, za obowiązek sobie poczytuję.

W tomie I, na str. 390 autor mówiąc o przywróceniu przez cesarza Pawła Jezuitów do zarządu szkoły głównéj litewskiéj, powiada: opór sławnego ex-jezuity Poczobutta, profesora astronomji, w niwecz obrócił ten zamiar. — W twierdzeniu tém dwie znajdują się omyłki, pierwsza tycząca się tytułów Poczobutta, który nie był profesorem astronomji, lecz przez króla jeszcze Stanisława mianowany astronomem królewskim, sprawował ten obowiązek aż do 1799 r. — Współczesnym zaś profesorem astronomji był ex-jezuita Andrzéj Strzecki. Co się tyczy mniemanego oporu przeciwko rzeczonemu Imperatorskiemu ukazowi, nie wiem prawdziwie, co autor przez ten wyraz rozumie, opór przeciw woli rządowéj w każdym kraju, a tembardziéj monarchicznym, ile pod panowaniem Pawła, najokropniejsze mógłby ściągnąć skutki. — Ówczesny rektor Strojnowski za najpokorniejsze w téj mierze do tronu przedstawienie skazanym został na ośmiodniowe o chlebie i wodzie więzienie; a tę nadspodziewanie łagodniejszą karę, dobrodziejstwem nawet nazwano. — Poczobutt, nie będąc już rektorem, nie miał nawet prawa i nie czynił najmniejszego w téj mierze do cesarza kroku, korespondencji zaś jego z jezuickim jenerałem Brzozowskim i przekładanie mu szkodliwych z zajęcia uniwersytetu dla towarzystwa Jezusowego skutków, nikt zaiste oporem nazwać nie może. — Rzetelną zaś przyczyną zniweczenia tego ukazu jest odpadnienie z łaski cesarza jezuity Grubera i rychła śmierć Pawła. — Na str. 402 i 403 t. I czytamy bezzasadne twierdzenie, jakoby nomenklatury chemiczna, zoologiczna, mineralogiczna, fizjologiczna, winne były Janowi Śniadeckiemu swe wydoskonalenie. — Jundziłł bowiem początki botaniki czyli naukę botanicznego języka wydał w r. 1804, początki zoologji 1805. — Jędrzéj Śniadecki pierwsze wydanie swéj chemji drukował w r. 1806. — Symonowicz w r. 1805 około mineralogji pracować począł. — Jan zaś Śniadecki, obrany rektorem uniwersytetu, przybył do Wilna w połowie lutego 1807 r.; nie mógł więc mieć wpływu na utworzone przez rzeczonych profesorów naukowe języki.

Na str. 407 i 408 poczyna się długi panegiryk Zana, założyciela sekretnego towarzystwa Filaretów. — Dążnością tych pochwał jest ciągłe przyganianie Śniadeckiemu, iż sprzyjając jedynie matematyce i fizycznym umiejętnościom, o moralne i filozoficzne nauki nie dbał, i tak n. p. na str. 407 czytamy: „Śniadecki gruntując naukę doświadczenia, obeznawając młodzież z naturą widomą, nie dał jéj czasu i nie chciał dać do zgłębienia tego wszystkiego, co za granicą tych materjalnych wiadomości czaruje rozum i imaginację. Kierunek jego był jednostronny a umiejętność martwa, jak styl którym pisał, i astronomiczne narzędzia, któremi uważał gwiazdy na niebie. — Ustawy społeczne w Europie, polityka, prawodawstwo, dawna Polska, wszystko to było za obrębem starca, obserwującego planety, a niechcącego wiedzieć co się na ziemi, i to na ojczystéj jego ziemi działo“ itd. — Przebóg! któż to wtłoczył w pióro autora tak bluźniercze o Śniadeckim zdanie. — Sława jego naukowa w kraju i za granicą, powszechna wzię-

*) Dwoma laty przed wyjściem dzieła Mochnackiego ciż to podobno ziomkowie nasi przepełnili historję doktora Spacir o powstaniu narodu polskiego: „Geschichte des Aufstandes des polnischen Volkes in den Jahren 1830 und 1831“ — tak licznemi i niedorzecznemi baśniami, iż ją Mochnacki w dopisku na stronie 413 i 414 t. I nietylko za historję, ale i za materjał do prawdziwéj historji uznać nie chce. — A jednak doktor Spacir na czele dzieła swego za rękojmią prawdy i antentyczność spisywanych przez się zdarzeń wymienia ludzi, którzy mu jakoby do utworzenia téj zbieraniny już pismami, już ustném opowiadaniem dopomagali, imiona ich są: Wincenty Pol, Dobrosław Kalinowski, Dziekoński, Domejko, Wrotnowski, Czetwiertyński, Choński, Staniewicz, Broński, Mickiewicz Adam, Zan Stefan, Grodkowski, Odyniec, Gorecki, Wejsenhoff.

tość i szacunek u ziomków, miłość i poważanie wszelkich klas uczniów w uniwersytecie, mogłyż być uwieńczeniem ciemnego i nieoznajomionego z innemi naukami prócz matematyki idjoty? — Znał dobrze Śniadecki literaturę starożytną i nowożytną nietylko krajową, ale i zagraniczną wszelkich Europy narodów, o ile mu do tego umiejętność języków łacińskiego, angielskiego, francuzkiego, włoskiego i niemieckiego dopomagały, jak inaczéj bowiem mógł ukształcić w sobie ten styl pisania poważny równie, jak jasny i przyjemny, który go stawił w rzędzie pierwszych mówców polskich, znał polityczną historję nietylko starożytną lecz i wszystkich nowożytnych narodów, a mianowicie historję dziejów ojczystych, do czego mu dopomagała bogata, nie dla parady tylko, lecz do ciągłego użycia zgromadzona bibljoteka, znał dobrze współczesny stan filozofji, któréj rozbiorowi i gruntownéj krytyce cały tom czwarty „Rozmaitych pism“ swoich wyłącznie poświęcił; znał obecny stan polityczny Europy, bo odczytywał regularnie wszystkie prawie gazety i żurnały, które mu wiadome ograniczenia cenzurne czytać dozwalały; znał najbardziéj smutny stan ojczyzny swojéj, któréj pomyślność równie go jak każdego dobrego Polaka obchodziła. — Podobało się autorowi „umiejętność jego nazwać martwą jak astronomiczne narzędzia, któremi uważał gwiazdy na niebie“ podobno dla tego, iż pisma jego, a mianowicie przemowy w czasie zagajeń rocznych akademickich miane, nie odznaczały się wybrykami romantycznéj poezji, a bardziéj jeszcze otwartą dążnością do liberalizmu i wyrazistością gorętszego patrjotyzmu; czyliż nie wiedział autor, iż nie można pisać i rozprawiać o polityce i patrjotyzmie w Wilnie, jak się rozprawia i pisze w Paryżu, Londynie, Bruxeli itd.? — Czyliż nie wiedział, że przekroczenie ścisłéj w téj mierze ostrożności mogło przyspieszyć upadek, powierzonego pieczy jego tak ważnego naukowego zakładu? mimo pozorną obojętność jego w téj mierze, cały kraj uważał go za gorliwego ojczyzny swéj miłośnika, tak go uważała młodzież wszystkich fakultetów, która uroczyście niejednokrotnie okazywała mu miłość, wdzięczność, przywiązanie.

Na str. 417 przechodzi autor do pochwał Lelewela, a opisawszy nietylko biegłość jego w historji, lecz i zewnętrzną ciała jego fizjonomję, dar poety mu przyznaje, to jest „dar natchnienia w widzeniu bardzo odległych przedmiotów“ itd. Mówiąc zaś niżéj o dążeniu jego do katedry historji w uniwersytecie, czyni ostre, nawet nieobyczajne wyrzuty Śniadeckiemu, iż oporem swoim zagradzał mu drogę do tego placu, na który go cała publiczność powoływała; lecz w tém, niepostrzegając się podobno, sam przeciwko sobie i na uniewinnienie Śniadeckiego podaje oręż, gdy mówi, „że Lelewel zapuszczając się w badania nad geografją starożytną, przymuszony ślęczeć nad foljałami pisanemi barbarzyńską łaciną lub greczyzną średnich wieków, zaniedbywał swe wysłowienie tak dalece, że i świadomsi rzeczy musieli czasem po kilka razy odczytywać jedną jego kartę, krótko mówiąc, że ówczesne dzieła Lelewela trzeba było wertować“ itd. — Na str. 422 powiada: „Lelewel ogłosił był pisemko o Mateuszu herbu Cholewa; równie uczone a daleko ciekawsze były jego rozprawy umieszczone w r. 1816 i 1817 w Tygodniku Wileńskim o stanie oświecenia w Polsce przed wprowadzeniem druku. Te pisma, jedne z najgruntowniejszych w polskiéj literaturze krytyczno-historycznéj, miały atoli cechę wszystkich innych z owéj epoki pism Lelewela, to jest, że prawie od nikogo nie były zrozumiane, choć je wszyscy obsypywali pochwałami“ itd. — Tę ciemność i niezrozumiałość ówczesnych pism Lelewela potwierdza jeszcze na str. 422 — „zdaniem przyjaciela i poprzednika jego na katedrze Onacewicza, który wyliczając w roku 1819 na lekcji autorów piszących o historji, rzekł: mamy jeszcze jednego, największego z naszych krytyków, Lelewela, szkoda tylko, że dzieła jego dotąd nie są na ojczysty język przełożone.“ — I tę to przyczynę oporu śmie autor nazywać dziecinną i niesprawiedliwą. Mógłże bowiem ten gorliwy zawsze o utrzymanie sławy uniwersytetu rektor przyjąć do grona tegoż uniwersytetu człowieka, który lubo pracowitym był badaczem starożytnych ojczystych dziejów, nie umiał jednak jeszcze wtedy władać piórem i tłomaczyć jaśnie i zrozumiale na piśmie myśli swoich? — Uniwersytet, osadzając naukowe placę w gimnazjach i w szkołach nawet powiatowych, dawał baczność, aby nauczyciele niższych nawet klas poprawnie, jasno i zrozumiale mogli pisać w rzeczach przynajmniéj swych przedmiotów; — jakże nierównie więcéj wymagać należało podobnego usposobienia po człowieku, który stanąwszy u steru narodowéj oświaty, miał ją zaszczepiać nietylko ustnie w umysły obecnéj młodzi, lecz i przez wydawanie pism zapewnić jéj postęp w najpóźniejsze pokolenia? — Że opór Śniadeckiego w téj mierze nie był żadnym skutkiem prywaty ani osobistéj jakowéj odrazy, okazuje to łatwy i jednomyślny wybór Lelewela na profesora w r. 1821. Jaśnie i gruntownie napisana konkursowa rozprawa z powszechnym na posiedzeniu rady przyjętą była oklaskiem, a obecny na tém posiedzeniu jako emeryt astronom Śniadecki, nietylko zdaniem swém w sekretnych wotach, lecz i jawném zupełnego swego zadowolenia oświadczeniem, wybór ten poparł i utwierdził. — Na str. 241 autor przywodzi za powód niechęci Śniadeckiego ku Lelewelowi, iż się w pisowni polskiéj różnili: „gdy pierwszy w jotach miał szczególne upodobanie, drugi nienawidził ich jak zarazy.“ — Ten dziecinny i płochy zarzut nie zasługuję nawet na zbijanie. Niepodobna bowiem przypuścić, aby tak rozsądny i wyrozumiały weteran unosił się aż do zemsty w téj niewinnéj literackiéj igraszce. Żył wtedy jeszcze X. Filip Nereusz Golański, który większe jeszcze w pisownię wprowadził dziwactwo, przecież Śniadecki traktował go zawsze ze zwykłą sobie uprzejmością, a Golański nie żalił się na żadne sobie z tego względu uchybienie.

Dotąd autor powodowany zapewne duchem stronniczych i fałszywych powieści, naganiał i nicował wady pojedynczych osób, a mianowicie Śniadeckiego. W tych twierdzeniach uderza wprost na nauki dokładne, przypisując im, jakoby miały w sobie zarody zepsucia, demoralizacji, które zaszczepiają w tych, co się niemi zajmują. — Nauki bądź moralne, bądź fizyczne, dobrze zgłębione i pojęte, nie prowadzą nikogo ni do satyry i potwarzy, ani do epikureizmu. Nieszczęsne te przywary, nieodzielne towarzyszki ułomności ludzkich, pochodzą najczęściéj z braku starannego w dzieciństwie wychowania lub złych przykładów towarzystwa, w których się człowiek w pierwiastkach swojego życia znajduje, a niekrępowane hamulcem religji i oświecenia, w nałóg się zamieniają. — Co do pierwszego, czyli skłonności do satyry: długo żyjąc na świecie, widziałem ostrych satyryków, niemających żadnego o naukach fizycznych wyobrażenia. — Któż nie zna między żyjącemi satyrycznego pióra ziomków naszych Bułharyna i Sankowskiego? — Towarzystwo szubrawców dwóch tylko fizycznych liczyło członków, doktora Szymkiewicza i Jędrzeja Śniadeckiego, wszyscy inni byli albo literaci albo moraliści, a przecież z pod ich pióra jakież satyry nie wychodziły? Profesor wymowy Leon Borowski i Ignacy Szydłowski celowali nad innych dowcipem i uszczypliwością. — Z pomiędzy dawniejszych, a tych nawet duchownych, znałem Xawerego Bohusza ex-jezuitę i Michała Karpowicza, sławnego, wzorowego owych czasów kaznodzieję, ex-misjonarza, którzy nie umieli rozróżnić barometru od termometru, a jednak w osobistych zatargach swoich najsroźéj się satyrami i pisanemi paszkwilami szarpali. — Sławny we Francji Voltaire, który żartował z Bufona naturalisty i wyszydzał matematyka

Dalemberta, nie byłże najuszczypliwszym wieku swego satyrykiem? — Co do epikureizmu: nie wiemy co przez ten wyraz autor rozumie, jeśli to ma być rozwiązłość życia i skażone obyczaje, te również jako zależące od wpływu zwyż pomienionych przyczyn, wspólne są całemu rodzajowi ludzkiemu, w powszechności, im kto mniéj jest oświeconym, tém bardziéj zepsuciu i demoralizacji ulega, a w szczególności co się tyczy obwinienia umiejętności dokładnych, na zaszczyt to nauk fizycznych powiedzieć można, że, gdy w liczném gronie profesorów wydziału medycznego i fizycznego żadnego jawnego w tym gatunku nie postrzegano skażenia, w wydziale literackim profesor literatury starożytnéj i filolog Grodek, w moralnym Józef Bogusławski, profesor teologji, byli w całéj rozciągłości tego wyrazu powszechnie obwołanymi epikurejczykami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wystawa wiedeńska.

II.

Miejscem wystawy wiedeńskiéj jest park zwany Praterem, rozciągający się tuż pod murami miasta. Wąska rzeczułka dzieli plac ten na dwie części, z których część wschodnią przeznaczono na pomieszczenie produktów i przedmiotów czasowych, część zachodnia zaś stanowi właściwą wystawę i tutaj to wznosi się pałac przemysłu, zadziwiający z jednéj strony swym ogromem, z drugiéj śmiałością techniki architektonicznéj, przynoszącą w wysokim stopniu zaszczyt budowniczemu p. Russelowi. Pałac sam rozpada się na trzy części. W środku wznosi się gmach czworokątny, zawierający potężną rotundę opatrzoną kopułą, z boków zaś tego gmachu z prawéj i lewéj strony wybiegają dwie długie galerje, z których każda poprzeżynaną jest galerjami pobocznemi. Długość całego pałacu wynosi 905 metrów, szerokość 24 metrów a wysokość 16 metrów. Centrum całego gmachu stanowi ów kwadrat o bokach 200 metrów długich, w który wpisano promieniem 70 metrów koło dźwigające rotundę. W skutek tego wpisania powstają cztery trójkąty, każdy o łukowatym boku wewnętrznym. Na 32 potężnych, 80 stóp wysokich filarach żelaznych, powiązanych u góry arkadami, spoczęła kopuła z grubéj blachy, mająca 108 metrów napięcia. Dla lepszego uzmysłowienia tego ogromu, pozwolimy sobie porównania, a mianowicie, że kopuła kościoła świętego Piotra w Rzymie, dotąd za najśmielszą uważana, ma tylko 47,83 metrów napięcia. W wysokości 80 stóp nad posadzką biegnie do koła sklepienia pierwsza wewnętrzna galerja, opatrzona żelazną barjerą; druga galerja do koła tak zwanéj latarni, to jest przestrzeni zupełnie zaszklonéj, przepuszczającéj potrzebną ilość światła do wnętrza rotundy, zawieszoną jest o 150 stóp nad posadzką; jeszcze o 100 stóp wyżéj znajduje się druga latarnia, na któréj szczycie osadzona, złota połyskuje korona cesarska. Łącznie przeto wysokość rotundy wynosi przeszło 250 stóp wiedeńskich. Do budowania téj rotundy spotrzebowano 80,000 cent. żelaza, niedziw przeto, że ona sama kosztowała przeszło miljon guldenów.

Z kolei rzeczy powiedzieć nam należy słów kilka o sposobie uporządkowania przedmiotów na wystawach międzynarodowych w ogóle, a w szczególności na wystawie wiedeńskiéj. Najcelniejszém zadaniem każdego architekta, któremu powierzono trudne zadanie urządzenia wystawy, jest bezwątpienia umiejętność przedstawienia pojedynczych gałęzi przemysłu wraz z uwidocznieniem, do jakiego należą kraju. Z zadania tego wywiązała się wystawa paryska jak najlepiéj. Oto owalny gmach wystawy podzielono na tyle przerznień, ile wystawa grup liczyła, a na tyle wycinków, ile państw wzięło w niéj udział. Idący pierścieniem miał przed sobą przedmioty jedno-gatunkowe wszystkich państw, zwiedzający zaś wystawę promieniem koła ku centrum, miał wszystkie przedmioty jednego państwa. — Na wystawie wiedeńskiéj nie chciano iść w ślady Francuzów i wrócono do pierwotnego grupowania przedmiotów według krajów, który to system wprowadzony po raz pierwszy na wystawie londyńskiéj r. 1851, utrzymał się mimo swéj wadliwości na późniejszych wystawach, a na obecnéj stał się podstawą ogólnego uporządkowania. Że nie stworzono tym sposobem nic lepszego, łatwo przekonać się każdemu, kto choćby z planów poznał wystawę z r. 1867 i dzisiejszą.

Jak powiedzieliśmy, wystawę wiedeńską uporządkowano według krajów, które następują po sobie w porządku jeograficznym, w kierunku od wschodu ku zachodowi. Zbliżający się do pałacu od bramy zachodniéj, ujrzy w pierwszéj galerji na prawo miejsce przeznaczone dla Stanów Zjednoczonych Ameryki Udzielono im 1,350 metrów kwadr. w galerji a 2,500 na dziedzińcu, razem przeto 3,850 metrów. Część pozostającą z pierwszéj galerji i całą galerję 2 i 3 zajęła Anglja, razem przeto 6,369 metrów na wewnątrz, a 7,500 na podwórzach. Wyroby Wielkiéj Brytanji zadziwiają jakością i ilością. Z saméj Anglji, nie wliczając kolonji australskich, zgłosiło się przeszło 800 wystawców. Z Anglją stykają się z jednéj strony południowe państwa Ameryki, zajmujące 1090 metrów, z drugiéj Francja. Najwymowniejszym dowodem bogactwa i żywotności tego kraju, wyssanego miljardowemi kontrybucjami, jest ta okoliczność, że sama Francja zajmuje obok 6,380 na wewnątrz pałacu (część galerji 3, całą 4 i część 5) 10,000 metrów na dziedzińach i to wszystko nie wystarczyło jeszcze na pomieszczenie nadesłanych przez nią przedmiotów. Ale zapomnieliśmy o półwyspie Pyrenejskim. Hiszpanję i Portugalję wtłoczono, jak gdyby te dwa państwa nie należały wcale do Europy, w jeden kąt galerji trzeciej, a wyroby ich sukna między wyrobami Francji i Anglji Część piątéj galerji dano Szwajcarji, która na przestrzeni 1,100 metrów wewnątrz a 3,600 na zewnątrz urządziła się prześlicznie i sama jedna stanęła w dniu otwarcia wystawy w zupełnéj niemal gotowości do międzynarodowego popisu. Włochy zapełniły szóstą galerję o 2,900 metrach, obok Włoch usadowiła się Belgja (2,600 metrów), daléj Holandja (850 metrów), Szwecja i Danja. Niemcom udzielono połowę czterech najbliższych rotundy galerji. Zajmują one przestrzeń 6,700 metrów wewnątrz a 12,000 metrów na zewnątrz, posiadają przeto po Austrji najwięcéj miejsca.

Właściwą międzynarodową wystawę przedstawia sama rotunda, gdzie, według programu, miały się spotkać najlepsze wytwory i dzieła genjuszu ludzkiego bez względu na państwo lub narodowość. Czy dyrekcja odpowiedziała w téj mierze godnie swemu zadaniu, to wielkie pytanie, zewsząd bowiem podnoszą się głosy,

że w rotundzie można napotkać tuzinkowe przedmioty, dzieła, które chyba protekcja, owa wszechwładna na wystawie wiedeńskiéj pani, ośmieliła się tutaj pomieścić. Rotunda sama rozpada się na dwa koncentryjne koła. W przestrzeni wewnętrznéj znajdują się owe rzekomo najcelniejsze wyroby wszystkich ludów, przestrzeń zaś zewnętrzną podzielono na dwie części, z których północną zajęły Niemcy, południową Austrja. Ostatnie to państwo (kraje przedlitawskie) rozłożyło obok tego swe wyroby w galerjach tworzących skrzydło wschodnie pałacu wystawy a zwłaszcza na przestrzeni 14,000 metrów. Na podwórcach zastrzegła sobie Austrja 30,000 metrów. Przestrzeń wewnętrzną zapełnił przemysł różno-plemiennych ludów austrjackich dość szczęśliwie. Widok, jaki tu się przedstawia, zewszechmiar jest malowniczym i rozmaitym. Najobficiéj reprezentowanym tu jest przemysł szklanny, który w obecnym wypadku wiele lepiéj się przedstawia, niż na ostatniéj wystawie paryzkiéj. Nie wdając się w szczegóły, choć trudno nam nie oddać zasłużonych pochwał biżuterjom wiedeńskich jubilerów, nie podziwiać prześlicznéj porcelany lub pominąć milczeniem cacka galanteryjne, posuwamy się w głąb wschodu, któremu w późniejszych naszych artykułach przeważną poświęcimy uwagę. Z galerjami austrjackiemi stykają się Węgry, co wierne dualizmowi, oddzielną zupełnie tworzą wystawę i reprezentują się jako niezawisłe i jedynie nicią dynastyczną z Austrją połączone państwo. Flagi narodowe o zielono-biało-czerwonéj barwie pouczają cię, żeś wstąpił w dziedzinę synów Arpada. Na polu wyrobów nie bardzo bogaty to oddział, ale za to nęcący malowniczością okazów i gustownym urządzeniem. Wyroby ze skóry i juchtu, stearyny, drzewa, daléj szkło, porcelana, fotografje, meble, kostjumy, śliczne siodła, futra, które to ostatnie, mówiąc nawiasem, nie znoszą o tyle porównania z wyrobami futrzanemi, nadesłanemi przez firmy lwowskie i petersburgskie, o ile fotografje warszawskie przewyższają fotografje artystów węgierskich — wszystko to czyni oddział królestwa Śgo Stefana wielce interesującym. Ależ w dziedzinie węgierskiéj najwięcéj zwraca na się uwagi ogromna skała a na téj skale rozłożony obozem oddział wojska narodowego, zwanego honwedami. Figury z wosku, wykonane charakterystycznie i przystrojone w malownicze mundury różnéj broni, w pojedyncze rozsypały się grupy. Tu widzisz artylerję, zaprzężoną dziarskiemi i silnemi konikami węgierskiemi, owdzie huzarów, ułanów, a to wszystko naturalnéj wielkości. Na szczycie skały powiewa sztandar węgierski, koło którego stanęła placówka. Z węgierskiego oddziału wchodzimy wprost do działu rosyjskiego. U wstępu witają nas dwa białe wypchane niedźwiedzie, wita nas barbarzyńska graždanka, która rozwielmożniła się tutaj wszechwładnie, wypierając zewsząd napisy, jakiemi posługują się w innych galerjach. Pierwszy wzrok nasz tutaj pada na stal, żelazo i węgle. W téj mierze Królestwo Polskie a zwłaszcza kopalnie Dąbrowskie i kopalnie powiatu Radomskiego bogatego dostarczyły zasobu. Futra rosyjskie odniosą bezwątpienia zwycięztwo na wystawie wiedeńskiéj, czego znowu powiedzieć nie można o wyrobach jubilerskich, nie dorównywających wiedeńskim, niemniéj płótnach, tkaninach, wojłokach i dywanach, nagromadzonych w oddziale rosyjskim aż do przesytu. — Piramidy lnu i przędzy, pochodzącéj z Królestwa Polskiego, budzą powszechne uznanie. Fotografje warszawskie, a przedewszystkiém z pracowni Mieczkowskiego, są przedmiotem ogólnego podziwu, rywalizują bowiem o lepsze z fotografjami wenecjańskiemi, posiadającemi sławę najdoskonalszych w świecie. Finlandja, którą zwykliśmy sobie przedstawiać jako pustą, skałami poprzeżynaną i zamkniętą dla cywilizacji krainą, w innem zupełnie na wystawie okazuje się świetle: liczne posiada ona kopalnie, zakłady przemysłowe, a w obecnym wypadku popisuje się z najrozmaitszemi gatunkami papieru — z drzewa sosnowego.

Najpiękniejszych mebli i robót rzeźbiarskich dostarczyły Petersburg i Warszawa, która to ostatnia ma jeszcze tę zasługę, że obok wielu innych wyrobów, przemysłem szewskim przysparza sławy wystawie rosyjskiéj.

Wielce ciekawym jest tutaj zbiór turkestański, umieszczony w poprzecz galerji. Kolekcja ta, będąca dziś własnością politechniki moskiewskiéj, zebrana została przez dawniejszego namiestnika Turkestanu, jenerała Kaufmanna. — Zawiera obok figur typowych, zamieszkujących Turkestan, liczne okazy produktów surowych, w jakie kraj ten obfituje, przedewszystkiém surowego jedwabiu, bawełny, narzędzi z drzewa, gliny i miedzi, przędzy, haftów itd.

Z Rosją graniczy w pałacu wystawy bezpośrednio Grecja. Ta ostatnia przedstawia się tutaj dwojako. Zachodnia jéj ściana daje nam obraz Grecji nowożytnéj, północna przenosi nas w wieki dawniejsze. Tu wznoszą się jéj wieże i świątynie, jéj mury cyklopowe wraz z Akropolis, teatr Djonizjusza w Atenach, brama zamkowa — a wszystko to wykonane plastycznie i z niezrównaną dokładnością. O tém, co pozostało z starohelleńskiéj skulptury, dają nam wyborne wyobrażenie odlewy gipsowe. — A Grecja nowożytna? Niebrak wprawdzie tutaj marmuru, tego samego, z którego w wiekach rozkwitu Helady wykuwano dzieła będące podziwem świata dzisiejszego, niebrak marmuru z wyspy Melos, gdzie znaleziono posąg Aphrodity, lecz nie masz rzeźbiarzy. — Zaledwie kilka wystawiono posążków: dwa biusty króla i królowéj, kilka posążków alegorycznych — wszystkie mogące chyba posłużyć, tak dobrze jak włoskie, na przyozdobienie salonu. Nadaremnie śledzisz po galerji greckiéj za dziełami nieśmiertelnéj treści, darmo oglądasz się za złotem i słoniową kością z których to materjałów Phidjasz stworzył swego olimpijskiego Zeusa, Grecy dzisiejsi przedzierzgnęli się w naród, zaopatrujący siebie i swych sąsiadów co najwięcéj w produkta surowe. Przemysł fabryczny, rzemiosła — dopiéro poczynają podnosić się z uśpienia. Drzewo, marmur, kamienie, główną na wystawie dzisiejszéj odgrywają rolę. Z Atyki nadesłano wyroby ze szkła i srebra, z Korfu towary gliniane, piękne dywany i hafty ozdobne. Między produktami odznacza się pszenica, owies, soczewica, tytoń, bawełna, miód i oliwa. Najwybitniejsze jednakże miejsce należy się płytom marmurowym, których różnobarwne okazy dodają niemało blasku ubogiéj zresztą wystawie greckiéj.

Grecja i Włochy są macierzami cywilizacji europejskiéj. Wszystko niemal, czém jesteśmy i co posiadamy, im zawdzięczamy. O ileż przeto namacalniéj uderza nas owo przeciwieństwo, jakie wysnuwa się dziś z porównania obu tych krajów. Włochy są narodem kroczącym na czele postępu i nieustępującym w zapasach cywilizacyjnych ani Francuzom, ani Anglikom a tém mniéj Niemcom. — W rysach tego narodu przebija się wyraźnie znamię wrodzonego mu zmysłu artystycznego i poczucie piękna. W Grecji ani śladu tego wszystkiego. Potomkowie dawnych Helenów żyją z bogactw nagromadzonych w ich ziemi, przemysł ich w ciasnych obraca się tylko ramach, a działalność na polu artystycznem ogranicza się do pojedyńczych jednostek i nie może w żadnym razie być poczytaną za wyraz charakteru narodowego. — Z Grecji krok tylko jeden do Rumunji, któréj przydzielono kącik w galerji poprzecznéj, gdzie mieszczą się wyroby Persji i państwa Niebieskiego. — Akwarele porozwieszane u wchodu oddziału rumuńskiego zapoznają nas z typami ludowemi i kostjumami księstw naddunajskich. Całość podobniejszą jest raczéj do zbioru starożytności rumuńskich, niźli do wystawy dającéj nam wierny obraz działalności Ru-

munji na polu przemysłowém. Stare siodło z złoconemi strzemionami, krzywe szable w srebrnych i złotych oprawach, broń najróżnorodniejsza, sprzęty służące do służby Bożéj, krzyże, książki, oto przedmioty, które przedewszystkiém podpadają nam pod oko. Jedynemi okazami przemysłu rumuńskiego są lekkie tkaniny, staranne, choć pozbawione gustu hafty, cegarniczki, krzyże, łańcuszki, naramienniki z czarnego bursztynu.

Odkładając opis Chin i Persji na późniéj, przystępujemy obecnie do bardzo ważnego działu wystawy wiedeńskiéj, do Turcji, któréj bogate i nieposledniéj wartości wyroby zajmują w samym pałacu 2,948 metrów kwadratowych, a przeto dwa razy tyle, co Stany Zjednoczonéj Ameryki.

K. Z.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
O
RZECZACH POLSKICH.

— Z powodu zbliżającéj się 200-letniéj rocznicy obrony „Trembowli", wydawnictwo „Tygodnika Wielkopolskiego" rozpisuje niniejszém

konkursową nagrodę w ilości 100 talarów

za napisanie gruntownéj historycznéj monografji Chrzanowskiéj i obrony Trembowli. Monografja ta, objętości mniéj więcéj 3 do 4 arkuszy druku, winna być nadesłaną Redakcji naszego pisma najpóźniéj do 1go marca przyszłego 1874 r., która ze swéj strony przedłoży ją sędziom konkursowym, których nazwiska niebawem podamy. Nadsyłane monografje opatrzone być winny tém samém godłem co koperta, w któréj znajdować się powinna kartka z adresem autora.

Redakcje wszystkich pism polskich prosimy uprzejmie o powtórzenie powyższéj odezwy.

* * *

— **Kurjera Poznańskiego** zwracamy ponownie uwagę, iż wiadomości swoje, dotyczące sprawy sławiańskiéj, czerpie z fałszywych źródeł i wprowadza w błąd swoich czytelników. Rzecz ma się jak następuje: W jednym z ostatnich numerów „Birżowych Wiadomości" czytaliśmy prawdopodobnie oryginalną korespondencję z Poznańskiego, w któréj złośliwie i jaskrawo scharakteryzowaną jest gospodarka niemiecka, tutejsze władze i zabójcze dla naszéj narodowości i kościoła prawa. Korespondencja ta, zaczynająca się od słów „Niech żyje Bismark", zaalarmowała dzienniki berlińskie a następnie tutejszą „Pozenerkę", która poświęciła temu przedmiotowi osobny artykuł pod rubryką Rosja, przetłomaczony dosłownie ze wszystkiemi błędami w przeglądzie politycznym „Kurjera" z dnia 16 b. m. „Kurjer" nie przytoczywszy wątpliwego źródła, zkąd czerpał, udał, że podaje wyjątek z oryginału i złapał się fatalnie, korespondencja bowiem będąca w mowie nie była drukowaną w „Gazecie giełdowéj" (Birżowaja gazieta), lecz w „Giełdowych wiadomościach" (Birżewyja wiedomosti). To qui pro quo popełnił jakiś poczciwiec w Berlinie po kilku kuflach bawara, ztąd dostało się ono do „Pozenerki", a z niéj do prawdomównego „Kurjera." Gdyby to ostatnie pismo mogło i umiało czerpać ze źródła, to przekonałoby się, że niemieckie gazety miały dobrą rację gniewać się na ową korespondencję, że zaś gniewać się racji nie miał „Kurjer", zwłaszcza, że korespondencja broni praw kościoła, którego „Kurjer" mieni się być organem i praw narodowości, któréj „Kurjer" jawnie potępić nie śmie. Tak tedy lamenta „Kurjera" są prostą spoljacją „Pozenerki" i setném zadaniem kłamu dewizie pro fide et veritate, w którą się stroić lubi.

* * *

— **Teatr.** Krótkotrwały sezon letni naszego teatru już się zakończył a pan Sarnecki z całém towarzystwem wyjeżdża za kilka dni do Kalisza, zkąd powróci dopiéro w początkach października. Oprócz wystawionéj po raz dwunasty „Halki", która i teraz ściągnęła tłumy widzów — wystawiono nowo zupełnie przygotowaną operę Moniuszki w I akcie „Flis", równie piękną i równém bogactwem melodji celującą jak tamta. Po powrocie naszéj opery będziemy mieli sposobność rozpisać się o „Flisie" obszerniéj — teraz zaznaczamy tylko, iż za wyjątkiem chórów i orkiestry, które dla pośpiechu należycie wyćwiczyć się nie zdołały, wszystkie niemal partje solowe wykonane były zupełnie zadawalniająco. Oprócz p. Kozłowskiego (Franek) i panny Macharzyńskiéj, która zarówno jako Halka, jak też jako Zosia we Flisie zachwycała słuchaczy świetnym śpiewem, która nawet pod względem mimiki zdumiewające zrobiła postępy — należy się wyszczególnić i oddać wszelkie uznanie p. Trojackiemu, którego basowa partja ex-żołnierza Szóstaka nic nie zostawiła do życzenia. Wielce humorystyczną rolę Jakóba odegrał p. Moszyński bez zarzutu. — Oprócz „Flisa" dano zupełnie nową fraszkę sceniczną p. Józefa Kościelskiego p. t. „Rozstajne drogi", na napisanie któréj złożył się istotny talent i lekki a szczery humor autora. Żywy djalog i zręcznie nakreślone postacie, zwłaszcza Edmunda, wynagradzają sowicie parę nieprawdopodobnych sytuacji i kilkakrotne zostawianie sceny pustkami. „Rozstajne drogi" utrzymają się z powodzeniem na repertoarze, a znany z talentu i zamiłowania sztuki dramatycznéj autor uprawiać ją zapewne będzie i nadal. — Wykonanie fraszki było celujące, p. Grabiński w roli Edmunda był istotnie niezrównany.

* * *

— Od chwili zawarcia konwencji artystycznéj między teatrem krakowskim i lwowskim, którym przewodniczą tacy znawcy sztuki i gentlemani jak Stanisław Koźmian i Eug. hr. Cetner, wzrost obu tych instytucji staje się coraz widoczniejszym. Przejazdy celniejszych artystów z jednego miasta do drugiego na gościnne występy, zasilanie się wzajemne sztukami wyborowego repertoaru, urozmaicają przedstawienia i coraz silniéj interesują publiczność, która uczęszczając licznie do teatru, wspiera go materjalnie, kształci sama siebie, wyrabia dobry smak i poczucie duchowych potrzeb, które u nas prawie nie istnieją.

Dowiadujemy się, że w teatrze krakowskim zajdą dwie ważne zmiany: odnowienie dekoracji i maszynerji, które nie odpowiadały bynajmniéj dzisiejszym potrzebom — oraz nieznaczne podwyższenie ceny miejsc, które w obec ogólnéj drożyzny, w obec potrojonéj gaży artystów i więcéj jak potrojonego personału, utrzymały się przy odwiecznéj. w dzisiejszych stosunkach śmiesznie niskiéj stopie. Jesteśmy przekonani, że obie zmiany równie chętnie przez krakowską publiczność przyjęte będą.

W miejsce pana Rychtera, który ukończył już swoje gościnne występy we Lwowie, pojechał tam pan Feliks Benda — natomiast pan Bolesław Ładnowski gości obecnie na scenie krakowskiéj. Publiczność

krakowska i lwowska przyjmuje z zapałem występy tych znakomitych i w mieście naszém zaszczytnie znanych artystów, — my, starzy ich znajomi, z daleka tylko winszujemy tryumfów i cieszymy się serdecznie z potężnego rozwoju sztuki narodowéj w Galicji.

* * *

— Świeżo wyszedł z druku tom drugi dzieła: „**Listów Marka Tulliusza Cycerona** ksiąg ośmioro przełożył E. Rykaczewski. Nakładem Bibljoteki Kórnickiéj. Poznań 1873, drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. Wł. Łebiński), in 8vo, str. 715.“ W końcu dzieła dodany jest do obydwóch tomów: Spis listów Cycerona, ułożonych porządkiem chronologicznym. (Cena obydwóch tomów 3 tal. 10 sgr.). Niniejszy tom jest 5 z kolei tomem ogólnego zbioru pism Cycerona, tłomaczonych przez E. Rykaczewskiego a wychodzących nakładem właściciela Bibljoteki Kórnickiéj, hr. Jana Działyńskiego. Obecnie drukuje się tom 6, zawierający Cycerona pisma krasomówcze i polityczne.

* * *

— W siebie samych i w świat cały wmawiają Niemcy misję cywilizowania Sławian a w szczególności nas Polaków; przedewszystkiém jednakże powinni zacząć od cywilizowania samych siebie a następnie od poznania tych, których swą germańską cywilizacją uszczęśliwić zamierzają. Trudno atoli uwierzyć, jak grubą oni ignorancją i obskurantyzmem w téj mierze się odznaczają. Nam zaś samym zależeć na tém powinno, aby tak Niemcy jak w ogóle cała Europa obeznała się bliżéj tak z naszą przeszłością, jak ze skarbami naszéj narodowéj literatury, albowiem na takiém poznaniu jedynie zyskać możemy. Z wdzięcznością przeto witamy każdą nową książkę w tym celu pisaną, zwłaszcza, jeżeli jéj autorem nie jest jakiś ziejący nienawiścią pismak, lecz pisarz, któremu prawda najwyższém jest prawem. — Świéżo pojawiło się dziełko w niemieckim języku p. t. „**Geschichte der polnischen National-Literatur**, übersichtlich dargestellt von E. Lipnicki. Mainz 1873“, in 8vo, str. XIV i 145. — Nie wiemy, czy autorem jest Polak, czy téż Niemiec z polskiém nazwiskiem, — dość że jest on bezstronnym pisarzem, który obeznany jest z naszą literaturą i z takową Niemców w najogólniejszych zarysach obznajomić pragnie. Nie wchodzimy w to, czy sądy autora oparte są na wszechstronném a źródłowém badaniu pomników naszego piśmiennictwa, czy téż na opracowaniach naszych historyków literatury (mianowicie Bartoszewicza i Nehringa), tę jednakże oddać musimy autorowi słuszność, że sądy jego są zazwyczaj trafne i że wydawane są bezstronnie, zgodnie z prawdą. Odpowiednio do tytułu dziełka (w niemieckiém znaczeniu wyrazu National-Literatur) przedstawił autor jedynie naszą literaturę poetyczną, dołączywszy do tego w ostatnim okresie obraz rozwoju dziejopisarstwa i filozofji; „ponieważ, jak słusznie powiada, na obu tych polach literatury ukazał się szereg dzieł, które przeniknęły natychmiast do całego narodu i na rozwój poezji stanowczy wpływ wywarły.“

Mimo pojedynczych usterek, których tu wytykać nie będziemy, możemy to dziełko polecić każdemu Niemcowi, pragnącemu w ogólnych zarysach poznać nadobną literaturę naszą, jako też polecić je jako podręcznik dla nauczycieli, wykładających Niemcom ten przedmiot.

(Z.)

* * *

— Nadeszły już bite w Dreźnie medale na uczczenie ś. p. Seweryna hr. Mielżyńskiego. O jakości metalu nie umiemy nic powiedzieć, co do formy zewnętrznéj to na jednéj stronie wybite są słowa: „Cnocie cześć“, na drugiéj zaś data urodzin i śmierci dostojnego nieboszczyka. Szkoda że nie ma strony trzeciéj i czwartéj, na nich bowiem znalazłoby się miejsce na popiersie ś. p. Seweryna i godła narodowe.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu. W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.